

Grudzień 1944 roku byłem aresztowany przez organa rosyjskie N.K.W.D. w Wilnie.

Osadzony w Więzieniu. 10 marca 1945 r. załadowano mnie i szereg innych osób też aresztowanych do wagonów towarowych i wywieziono w głąb Z.S.R.R. Załadowano nas po 80 osób w jeden wagon. Były tam kobiety, starcy i młodzież.

Na wagonach był napis <sup>włak</sup> /Włak<sup>Włak</sup> naroda/ wrogowie narodu. W drodze przewozu nas w zamkniętych wagonach dwa razy dziennie sprawdzano ilość sztuk i bili specjalnie porobione drewniane młotki.

W czasie transportowania dawano nam posiłek co drugi dzień kawałek suchara o wadze 150 gram i kawałek solonej ryby.

do picia zależało od terenu i postępu pociągu dawano nam śnieg

W Moskwie nas odwszawiano w kaźni i myto. Wszy nas do ran rozgryzały. Ludzie korzystając z wody starali się ugasić pragnienie skutkiem czego albo to umyślnie spowodowane, gdy nas załadowano do wagonów i wieziono, ludzie strasznie zaczęli chorować i umierać, Choroba obrzęki, lekarskiej pomocy nie było.

W naszym wagonie zmarło 18 osób, ciała ich zabrano i wyrzucono.

Dnia 31 marca 1945 r. przywieziono nas do Saratowa, tam również odwszawiano i dopuszczono ludzi do ugazzenia pragnienia do picia. Widziałem z ostatniego wagonu załadowano trupów do ciężarówek.

Nas zawieziono do łagru który znajdował się około 10 km od Saratowa, Jełszanka Łagier № 0321 P.F.Z. /prowiereczno filtracjonny Łagier/ ludzie po tej operacji strasznie zaczęli chorować i umierać nadmieniam że transport wówczas z Wilna wyruszył w głąb Z.S.S.R ponad 3.000 osób w dniu 10 marca 1945 r.

Choroby: Obrzęk, Dur brzuszny, Dur płamisty Dystrofija, Malarja i inne choroby, śmiertelność straszna.

Stworzyli punkt Śmiertelności, ciężko chorych i umierających wywożono z łagru około 6 km tam zrobiono pomieszczenie w ziemi tak nazwana ziemlanka, tam ci ludzie umierali, przyjeżdżali jacyś medycy w ubraniu wojskowym. Widziałem że pobierali krew i dawali jakieś zastrzyki, jakie niewiem opisuję gdyż osobiście

byłem przydzielony do części sanitarnej obsługi. Zmarli ludzie musieli tam po zgonie leżeć 3 dni, po 3 dniach przyjeżdżająca ekipa straży, i rękami rozbijali głowy. Po przeprowadzeniu takiej profilaktyki kasano nam ciała żądować do samochodów i odwoziliśmy do Saratowa do Prosektorium, tam układaliśmy na stoły lastrykowe gdzie następnie przychodzili medycy, studenci rozcinali ciała do badań, gdy przywieźliśmy następnych zmarłych po kilku dniach te poprzednie ciała tak były rozłożone że zmarli musieliśmy żądać do skrzyni i wywozić na cmentarz gdzie było miejsce wydzielone. Napis by /Wragi Naroda/ tam wysypywano ciała ze skrzyni kilka osób w jedną jamę i zasypywano, bez żadnych odznak. Przypominam, że mogło tam umrzeć ponad 700 osób.

W październiku 1945 roku wywieziono nasz obóz z pozostałymi żywymi ludźmi do Gruzji Kutaisi obóz Nr 0331.

W 1947 r. wywieziono nas część do Stalingradu Łagier Nr 107 odzias od zarządu Łagrów Nikietowska-Stalingrad.

24 stycznia 1950 roku osadzono mnie w więzieniu w Wilnie,

17 maja 1950 roku skazano mnie z art. 58, 1<sup>2</sup> wojennym Trybunałem Wojsk N.K.W.D. wyrokiem na 25 lat pozbawienia wolności przetrzymywania w osobo reżymnych łagrach, i wykorzystaniem przy ciężko katorżnych pracach i 5 lat pozbawieniem praw obywatelskich.

Osadzono mnie w łagru Karaganda, gdzie fugurowałem bez nazwiska niażem naniłowany Nr 3 812 na ubranie.

1953 r. zostałem przywieziony do łagru w Omsk<sup>tam</sup> przebywałem Utusium i Omsk. Łag. odz. uch. 16/6 16/7 16/9 16/11 i inne.

Zwolniony zostałem w okolicznościach przestrojowych 31 grudnia 1957 r. 1 lipca 1958 r. przybyłem do kraju.

Wspominam że śmiertelności jakie były w obozie Nr 0331 Kutaisi nie grzebano a ciała oddawano na pożarcie szakalom, /górskim hienom/.

Apanowicz Stanisław

Byliński Władysław

Kulacz Zygmunt

Cheżczanowicz Jan

Juszek Wacław

Krupski Bolesław

Rudy Stefan

~~Wierchow~~  
Wierchow Romuald

Antoniewicz Wacław



W lipcu 44 r. było u nas natarcie na Wilno. Ja uciekłem. Do Puszczy doszliśmy, widzę — nie ma przelewu... Byłem wtedy dowódcą plutonu, rozbitków zbieraliśmy. Myślę: nie ma co, trzeba wiać. I nawiałem.

Doszło aż do 10 lutego 49 roku. Ja tego nikomu nie mówię, ale ja poddałem się. Znałem — jak ja nazywam — psów, poszedłem i jemy się pokazałem. Powiedziałem, że idę tam i tam, i dzisiaj będę tam spać. I przyjechali po mnie.

Na jakim to terenie?

Wileńszczyzna. Prawie tam, gdzie się rodziłem. Zostałem aresztowany — specjalnie przyszedłem — blisko mego miejsca zamieszkania, urodzenia. W Żołudku się rodziłem, w Szczuczynie do szkoły chodziłem; przy Szczuczynie są Wnuczkowce, ja tam mieszkalem przed wojną. [...]

Mnie aresztowano. Taki pan Kudrawiec mnie aresztował. Nawet na żołnierzy krzychał: — Dajcie mu spokój, on nie ucieknie. Wiedział, że ja chcę, żeby mnie aresztowali. Ja wiedziałem, że tamten doniesie; ja poszedłem tam specjalnie. Ja znałem ludzi na swoich terenach, wiedziałem, kto czym pachnie.

Np. ojciec tej mojej dziewczynki ukrywał się przez pół roku. Chodził niby, ale jak tylko jechali Rosjanie czy w nocy, to szedł spać [poza domem], żeby go nie aresztowali. Takich ludzi ja wiem dużo. On się nazywał Wojtkiewicz. [...]

Już po wojnie, na mój teren przyszli partyzanci. Dowiedziałem się, że oni tam i tam stoją i niechcący nadszedłem. Stałem na dworze, niby w uktyciu. [Z tego domu] wyskoczyła gospodyni; prosto na mnie. Onie nie wiedzieli, że ja nie chcę, żeby ona mnie widziała. Wtenczas ja wszedłem do mieszkania. To był 46, 45 może rok. Ona pochodziła z drugiej wsi. Poszła do siebie do domu, pochwaliła się, że widziała Apanowicza, że jest bardzo ładny, umundurowany... I koniec końców jej męża wzięto; on się od razu przyznał, że był u niego Apanowicz, że rozmawiał. Dali mu 10 lat więzienia. Jak ja się znalazłem w obozie, w Dżezkazganie [?], dowiedziałem się, że ten Rudy [nazwisko?] tam jest, na drugim [innym?] oddziale. Ja przez druty, płoty musiałem przeskakiwać, do niego. Przed wszystkimi ludźmi: — Ja ciebie wydałem? Sam siebie wydałeś. Kto kazał żonie, żeby poszła i wychwalała, że widziała Apanowicza? A po co ty się przyznałeś?

Ale on miał żal do Pana?

Nie, nie miał. Ale ja chciałem przed wszystkimi to powiedzieć; taki Świacki był u mnie w partyzantce [i w tym obozie]...

Jak się ukrywałem, wyrobiłem już sobie dowód, tam to się nazywało paszport, że wyjaśnię, wyjdę z lasu. Poszedłem do Szczuczyna, rozmawiałem z Rosjanami, którzy kierowali w gminie, w powiecie. Oni mówią: — Apanowicz, uciekaj, bo my musimy ciebie zabić.

Pan chodził z bronią, w mundurze?

Z bronią. Na początku chodziłem w mundurze, później zdjąłem.

Trochę było kłamstwa, oszukaństwa. Kto mógł, to wiał stamtąd. Dzisiaj z jednym porucznikiem rozmawiam, a jutro on samolotem uciekł do Anglii, zostawił nas.

A nie można było do Polski, przez granicę, na zielono?

Można było.

Miałem numer 184, więzienny, w Dżezkazganie.

Gdy Pan się znalazł w Kingirze, to z tym samym numerem?

Cały czas. Z tymi [samymi] dokumentami, gdzie przewożą... Te przewozy nas najbardziej męczyły. Np. nas więzili z Kazachstanu, po powstaniu, do Magadanu, przez Irkuck, port Wanino, z Wanina na okręty i do Magadanu. Sześć dób jechaliśmy okrętem. A dopóki dowieźli nas do Irkucka, to jechaliśmy 22 dni. Pić nie dano, a dawano takie małe rybki, 3 — 4 cm. długości; sama sól. Jeść nie dają więcej nic, 300 — 500 gram chleba. Człowiek jadł. Wagony towarowe. Przyjdą po cichutku, klapy, wszystko pootwierają. Na Wietrennym, w Magadanie nas było 11 tysięcy, ale 15 czy 13 narodowości. [...]

Wrzucali do nas... Co to było w Kazachstanie powstanie, to nam też wrzucili złodziei, *blatnych*. *Blatnyje* poczynali między nami coś tam wyrabiać, ale im się nie udało zrobić, co oni chcieli. Ale na początku... Np. w wagonie znalazło się dwóch, trzech — specjalnie nam ich wrzucili. Podadzą nam wodę, np. 10 litrów; oni [*blatni*] staną i piją. Na razie człowiek patrzył pierwszy dzień, ale na jutro oberwało się, albo jemu, albo mnie. Musiało oberwać się, do tak, to nikt z nas nie mógł dostać wody.

Ale jak ich było tylko dwóch czy trzech na wagon, a was, politycznych, reszta?

Ale my na razie nie znaliśmy, ilu nas jest. Dzień, dwa, póki my to rozpoznali, między sobą. Jak nas przewożono z Kazachstanu do Magadanu, to myśmy się znali; między nas już nie wrzucono [kryminalnych]. Ale jak byliśmy w Kazachstanie [w Kingirze], to nam wrzucono. Jak oni czuli, że my robimy powstanie (Solżenicyn wszystko opisuje dokładnie), to oni nam wrzucili *blatnych*.

A ilu, dużo wrzucili?

To, co on pisze, to 500 — 600 ludzi.

A według Pana?

Według mnie to chyba więcej. W każdym razie nie mniej. Dużo. I to takich wrzucono — ładnych chłopaków, sprytnych, do bicia się, do wszystkiego.

A oni byli zorganizowani między sobą?

Nikt nie był zorganizowany, tak jak my byliśmy zorganizowani. Między nami byli Litwini, Ukraińcy, Łotysze, Rosjanie, różne narodowości; Francuzi, Chińczycy. Ja się śmieję — myśmy cukierek dzielili na siedem, landrynkę. U mnie dzisiaj ci ludzie są, co dzielą się cukierkiem na cztery. Mnie taki Waluk szły bluzkę rok czasu, a ja mu walizkę robiłem rok.

A ta siódemka od landrynki to byli Polacy?

Nie koniecznie.

Jak ja przyjechałem do Kingiru, był taki Adamowicz; moim ojcem mógł być, dużo starszy ode mnie. Ja, nic nie wiedząc, przychodzę z pracy, a on mówi: — Zupę oddaj temu, drugie danie oddaj temu, a chleb — temu. Pani rozumie, przyjść z pracy głodnemu? Ledwie nogi ciągnę, a on mnie każe to pooddawać. Zabrał mnie i poprowadził do piekarni. Kazał mi wziąć wiadro i zmywać — niby ja pracuję. Zaraz mi pół bochenka chleba dał, zjadłem. Od tego życie powstawało. Ze 46 kilogramów [wagi] już się znalazłem w 80. Na tej podstawie człowiek mógł przeżyć; tak, to nie było rady, musiał coś kombinować. Trafiali się różni ludzie, dobrzy i zli. W Moskwie siedziałem [na etapie, jadąc do Kazachstanu], to jednego Żydek chłopaki przyszl i okradli. Obudziłem się; milicjanci wpuścili ich, otworzyli im drzwi. Ja obejrzałem to wszystko, zbudziłem, myśmy im wtukli, zabraliśmy to, co oni zabrali jemu. To był bogaty Żydek, miał. Później w Kingirze, dojechałem razem z nim, miałem bardzo wielkie wygody. Gazety do skręcenia papierosów — *pajka* chleba oddawali za papierosa. On pracował w biurze, gazetki miał; szedłem do niego, dawał mi pięć gazet, dziesięć.

Ktoś obcy, i dzisiaj tego nie wiem, przysłał mi paczkę 8-kilogramową. Ludziom przysyłano paczki — tłuszcz, słoninę, wędlinę, kaszę, drugie. A mnie przysłano paczkę — 8 kg. tytoniu, *machorki*. Ile to było bogactwa! Nawet nie pamiętam nazwiska [nadawcy], jakie było napisane. Jak paczka przyszła, mnie wezwano. Szczęście, że ten pan był, to był Rosjanin chyba. Zawołał mnie i mówi: — Przyszła tobie paczka. Kto ci mógł przysłać? — Nie wiem. On mi przeczytał, ja się nauczyłem na pamięć i poszedłem wtenczas odbierać. Powiedziałem żołnierzowi, od kogo; ja nie pamiętam dzisiaj.

Ten Rosjanin był więźniem, funkcyjnym?

Tak; wszystko więźniowie. Tylko wojsko to było cywil. Ale wojsko też tam za karę przychodziło.

Kingir i Dżekazgan blisko, 11 czy 15 km. jedno od drugiego. Ja bym powiedział — jedno i to samo, tylko różne dzielnice. Tam pustynia, nie ma nic. Słonecznik przysyłali niektórym ludziom, myśmy sadzili — nie chciało rosnąć nic. Zwierzęta były takie, jak myszy, szczury duże. Myśmy je jedli. Konie jedliśmy.

Sami na nie polowaliście?

Zwierzęta to łapali, sami. Konie normalnie szły na kuchnię, gotowali i dawali nam. Niektórzy psy zabijali, ale psa to ja nie jadłem. Różnie było, ciężko.

W Dżekazganie byli Polacy?

Dużo. Nazwisk... Zieralko ksiądz... Grzegorz... Kilku księży było. Nie pamiętam.

Czy w Dżekazganie była jakaś ściślejsza organizacja wewnętrzna więźniów — wpieranie się, likwidowanie donosicieli? Ale w Dżekazganie, bo w Kingirze była?

O! Mocne, silne w Kingirze było, ale i tutaj. Pamiętam, pierwsze moje wiadomości, to Mucha, Rosjanin... U niego w brygadzie był Komar Witek. Jego zabito w kopalni brygadzie, Muchę]. To był donosiciel otwarty. U nas był Józek, nie pamiętam nazwiska. On był naszym „biskupem”. On „bierzmował” wszystkich [donosicieli]; nawet księdza jednego „wybierzmował”. Były takie momenty — ja wiedziałem, idą oni na rozprawę. Mówię: — Nie chodźcie tam, złapią. On nie szedł. — Ty, Stach powiedział, to koniec; musi coś wie. Niechący [nawet] jeden drugiemu się pomagało. Ale ten Józek jak już poszedł, to tamten albo był od razu świętym, albo biegł na portiernię i wywożono go, do szpitala czy gdzie.

Najpierw go dobrze „wyświęcili”, pobili go dobrze. Albo uciekł prosto na wartownię, pod opiekę NKWDzistów; ci go zabrali, przetrzucili na drugi obóz. Ale jak go przetrzucili, to myśmy tam dali znać. Takie przetrzuty to u nas bardzo szybko szły. Stamtąd, gdzie go zawiozą, niechący ktoś przyjedzie do nas i mówi — przyjechał taki i taki. To my zaraz list tam, bo on ma tam kolegów; już wiedzieli, kto tam jest. Po kilku miesiącach było wiadomo. Tam mu znowu „pranie”, „wyświęcenie” robią i koniec.

U nas był np. taki wypadek. Ukraińiec — my nazywaliśmy go Ukraińcem, ale on popierał, że on Polak. I do nas Ukraińcy zwrócili się, że ten i ten ich sprzedaje. Nasz Józek poszedł do niego. Chyba i ja byłem wtedy... Ja mało chodziłem; tylko na takie rozmówki, to chodziłem. Nie chodziłem „bierzmować”. Jak z nim rozmawiałem, on mówi: — Przecież ja was nie sprzedaję; ja Ukraińców. Faktycznie, Polaków nie oskarżał, tylko na Ukraińców donosił. I od nas dostał. Przestał to robić. Bo jak nie przestanie, to zabiją.

Wielu zabito?

Co dla mnie wiadomo, to chyba pięciu czy trzech; w Kingirze.

Ale Polaków czy w ogóle?

W ogóle. Polaków ni jednego. „Bierzmowanie” wystarczało. U nas był jeden ksiądz — mówił, że on ksiądz, jak przy ołtarzu. A rugał się, jak szewc. To go wyrugali. Nie pamiętam nazwiska.

W którym roku przyjechał Pan z Dżekazganu do Kingiru?



Po roku, w 50.

Już ta organizacja była ścisła?

Tak. Jest w Warszawie Stawryllo — przecież prokurator; i teraz tu prokurator. Zbierał te wszystkie materiały; on, Legun, ten Józek — nazwiska zapomniałem. Np. przychodził Heniek [Stawryllo] do mnie, rozmawia... Na początku, to się bało dużo; tak się rozmawiało. Ale jak on się dowiedział od Leguna, że ze Stachem można rozmawiać, to poczyną ze mną — byłeś tam i tam? — Nie, pójdę zaraz. Człowiek siedł, wywahał coś. Wszystko niby to ostrożnie. Dużo nie trzeba było mówić. Bolka [Waluka] tam nie było; on tylko odbył przy nas samo powstanie. Przyjechał, my już wiedzieliśmy, tego samego dnia; tak wywiad pracował. Myśmy wszystko wiedzieli. Taki Heniek [Stawryllo] wiedział, gdzie stąpnąć krokiem, i mu donoszono.

Każda narodowość miała taką strukturę wewnętrzną? Przywódcy się spotykali razem?

Tak. Oni się tak dużo nie spotykali. Inne narodowości — Gruzini, inni — z tymi my mniej mieliśmy. Ale Litwini, Ukraińcy, Łotysze, Estońcy — to były grupki, i było dowództwo, jeden jakiś był szefem. Wszystko ostrożnie, o tym wszyscy nie wiedzieli. Po drugie — taki, jak ja, to chociaż wiedziałem, to nie chciałem tym się interesować. Najlepiej było nie wiedzieć za dużo.

Gdzie pracowaliście w Kingirze?

W kopalni.

W Dżekazganie?

Tak. Kopalnie miedzi, bardzo szkodliwe dla zdrowia. Przeważnie wierciłem dziury. Prawdopodobnie, to trzeba było na mokro, z wodą. Dużo się wierciło i na sucho. Kurz, pyłek jest bardzo szkodliwy. [...]

Co się tyczy organizacji, to ludzie starali się jakoś połączyć. Msze odprawiali, księża byli. Grzegorz Kozera [ksiądz], zakonnik.

Nie miał brata?

Trzech ich było; w Kingirze był sam. Zmarł w Lublinie.

Kryminalnych z wami nie było, dopiero tuż przed buntem przywieźli tych 500 błatnych?

Błatnych z nami na ogół nie było. Z błatnymi mieszkalem 6 miesięcy w Magadanie; ich było 350, a ja sam. Nie bałem się ich. Bardzo uważali mnie.

Dlatego, że Pan z Kingiru, z powstania?

Że ja Polak i że polityczny. Np. u mnie były papierosy i z szafki za noc zginęły. Wiedziałem, który z nich. Doszedłem, mówię: — Słuchaj, to ma wrócić. Poszedłem do stołówki, wróciłem — już to było z powrotem.

Do Magadanu jak nas przywieźli, nazwano nas „żar-ptica”. W czasie powstania, w Kingirze, były cekaemy, ale normalnie, to z karabinem na wyszkach stał. A jak nas tam przywieziono, to cekaemy stały — to jest ciężka broń. Później oni dopiero uspokoili się; doszło do tego, że ja chodziłem bez konwoju. Na początku, to na nas [żołnierze] patrzyli — nie daj, Boże! Magadan to było duże miasto, 25 czy 30 tysięcy ludzi. Ludziom ogłosili — ostrożnie, jak ich prowadzą, to uciekajcie, bo to „żar-ptica”, buntownicy.

Jak nas w Kazachstanie prowadzili do pracy, w bramie przejściowej stał i liczył, myśmy szli czwórkami — ile mu trzeba było zabrać. Więcej on nie brał, jak 30 ludzi — ten dowódca, który nas prowadził do pracy. Wyjątek, że brał 50 ludzi. Po rosyjsku mówił: — Krok w prawo, krok w lewo, od razu strzela. I strzelali.

Jak ja ważyłem 46 kg, nie chodziłem prawie do pracy, ale zaraz później musiałem iść. Szedłem chwiejąc się, noga potknęła się, coś. Trzymaliśmy się jeden drugiego pod rękę, żeby równo iść. Nie, to on od razu strzelał. Wojsko było na nas napuszczone — że my przewracamy świat do góry nogami. Czytano im lekcje codziennie. Patrzyli na nas jak na najgorszych ludzi. [...]

Za pół kilograma chleba i łyżkę kaszy pracowałem 8 — 10 godzin. Były potem rozporządzenia, że w kopalni pracowaliśmy sześć godzin — ale od 6 do 6. Trzeba było odwiercić dziury w ścianie. Dobrze, jak mi maszyna nie zepsuła się, to zrobiłem to za sześć, za siedem godzin. Ale musiałem zrobić do końca i robiłem dwanaście godzin. Musiałem dokończyć, maszynę musiałem naprawiać. Za sześć godzin ładowałem 8 — 9 wagoników rudy. Wagonik ważył 1,200 tony. Jak spadł z szynek, to trzeba było podnieść i postawić z powrotem. Dobrze, jak było nas dwóch, trzech, ale przeważnie jeden podejmował. [...] Byli ludzie, którzy nazywali się, że są wolni. Zarabiali wtedy 800 — 1200 rubli. A ja nic nie zarabiałem. Dopiero po śmierci Stalina nam trochę płacili — 50 rubli. Pracowaliśmy za darmo.

Wracam do tego piekarza, jak zjadłem pół bochenka chleba. Ja dzisiaj sobie nie wierzę. Bochenek chleba ważył 2 i pół kilograma. Jak on przyniósł cały bochenek chleba, rozciął na pół drewnianym nożem. To był magazyn mąki, w piekarni. On pół bochenka dał dla mnie, a pół schował za worki. Ale ja oczkiem podejrzalem, gdzie. Poszedł przynieść dla mnie drożdży, kwasu, do popicia. Przeszło trochę czasu, ktoś go tam zatrzymał, nie wiem; wrócił po 15, po 20 minutach. Ja zjadłem tę połówkę chleba.

Zjadłem tę połówkę chleba, poszedłem, znalazłem tamtą drugą, też zjadłem; zjadłem cały bochenek chleba. Piekarz przyszedł i: „Co, już zjadłeś?” Ja mówię: „Tak”. On był pewny, że zjadłem tylko połówkę chleba, przynosi w garnku picie dla mnie. To było dobre picie. I poszedł po tę drugą połówkę. Poszedł, a jej nie ma; od razu do mnie: „Brałeś?” Ja mówię: „Tak”. „I zjadłeś?” „Tak”. Całą noc on mnie pracował, i całą noc ja po alejce chodziłem, on mnie nie dał położyć się. Całą noc chodziłem i poszedłem rano do pracy. Ja sam sobie nie wierzę, jakim cudem bochenek chleba zjeść? Ja zjadłem.

Po jakimś czasie, po tygodniu, po dwóch, przy tych piekarzach poznało się bliżej kuchnię. Tam chłopak mi znajomy, nawet go narysować nie mogę, kim on jest, nie pamiętam z kim to; dostaliśmy wiadro kaszy, takiej dobrej

kaszy. Dawano nam na drugie danie kaszę, była jak u nas dobra, gęsta zupa. Łało się ją jak zupę; myśmy dostawali łyżeczkę, to się nazywało 200 gram. To nie była kasza. Myśmy dostali wiadro kaszy, że jak je niosłem, to sobie palce brudziłem od tych skorupki. We dwóch wzięliśmy wiadro 12 litrów — całe to wiadro w kotłowni, żeby nikt nie widział... Jakim cudem we dwóch zjedliśmy wiadro kaszy? Dzisiaj Pani mnie uwierzy? Jak ja sobie nie wierzę. Fakt faktem, że ja dzisiaj sobie nie wierzę, jakim cudem ją zjadłem.

To było straszne. Człowiek był wygłodniały, wycieńczony.

Co jeszcze, oprócz chleba i kaszy, wam dawali?

Nic.

A tę koninę, to bardzo rzadko?

Koninę dawali, ale tylko pracownikom kuchni, stołówki. Jak nas było 1000 ludzi na tę kuchnię; więcej, jak tysiąc, nas było i po 8 tysięcy. Konia tego jak wrzucili, to gdzie go w kotłach znaleźli? Oni w worku rzucali, żeby sobie złapać. A pracowników takich jak ja, to tam nie dopuszczano. Gdybym tam pracował jak ten pan, jak poszedł ADAMOWICZ pracować — tam biegałem do niego.

Mam zdjęcie Wigilii — już nas było 11 osób na Wigili, miałem 19 porcji chleba czyli 19 po pół kilograma. Nie było ważne, że Wigilia, ale to, że myśmy się najedli. To już było wielkie „coś”.

Ta Wigilia była w KINGIRZE?

Nie, przeważnie myśmy Wigilie odprawiali w MAGADANIE. To już było wielkie „coś”. Ale w KINGIRZE też już to poczynaliśmy. Ja o tym nie pomyślałem, o tych nazwiskach, mogłem z notesu kilka poszukać. Na przykład jeden ksiądz, bardzo dobry ksiądz. On zmarł. Jak jechałem do Polski, to on mnie dał zlecenie; ja z WYSZYŃSKIM rozmawiałem.

Najważniejsze to, że mam żonę, która słucha mnie, wysłuchuje, wypytuje. Żona o mnie wszystko wie. Ona na mnie krzyczy, że ja opowiadam kawałkami, odcinkami. Mnie ciężko opowiadać. Ja nie mogę opowiadać, bo mi się płyna. Charakter mój się zmienił. Kiedyś dla mnie tam krew — no nic, a teraz już nie. Już mnie to razi troszeczkę.

Proszę powiedzieć, jak wyglądał obóz? W KINGIRZE były trzy zony...

Trzy... Zaraz, trzy czy cztery?

Czwarty choz—dwor.

Czyli dwie duże zony, a jedna była damska. Już teraz nie pamiętam. Pierwsza, zdaje się, była damska.

Pierwsza.

Już tu, wie Pani, człowiek nie pamięta. A po drugie to człowiek nie przejmował się tym. Żona jest żona. Pierwsza to pierwsza, druga to druga. Niby wiedziałeś, ale to się nie utrwaliło. Ot, na przykład daty w moim życiu — te mi się utrwaliły. Wszystkie daty, które przeżyłem. Zony wyglądali — normalnie, tak jak u nas baraki. I myśmy nazywali je baraki.

Ale drewniane czy z cegły?

Przeważnie drewniane. Ale byli i — nie z cegły, z pustaków, z gliny. To takie jakby pustaki, robiono je z gliny. Wielbładami to wymieszane, robione, ludźmi też. Jak ja przyjechałem to baraki już były wybudowane.

Obóz w Rosji nie kończył się. On jeszcze większy ma się robić. Polaków tam zostało bardzo dużo. Ja za to gwarantuję; miliony. Nie setki, nie tysiące, a miliony Polaków zostało. Dużo Polaków w innych się zostało, ale dużo siedzi dalej tam.

Jak się wchodziło do baraku, byli prycze. I najgorsza sprawa — do takiego baraku wsadzano nas 70, 90, 120 osób. Dopiero ja aż w MAGADANIE spałem, co było nas 12 osób. I miałem łóżko takie jak w szpitalu. Inne powietrze; Pani rozumie, jak 70 osób wprowadzić? Do tego tutaj pokoju to leciutko raz, dwa, trzy, cztery piętra prycz, ze 30, 40 osób, jeszcze wejście. To jest bardzo ciasno spać. Powietrza nie ma, duszno. Powietrza nie może Pani złapać. A tam było powietrze takie, że dniem 50 stopni dochodziło, leciutko. 55 było przy nas, jak myśmy byli. Ja chorowałem tam na malarię, czy jak się nazywa. Z 10 razy wykapałem się pod wodą i dostałem później. Noce chłodne, a dniem 50, 45 najmniej, 55 stopni ciepła. To był silny przewrót temperatury.

Na ziemi nic nie rośnie. Pustynia. Jak okiem sięgnąć nic nie widać. Od KARAHANDY do DŻEZKAZGANU jechało się 700 km. Ja to dobrze wiem. Jak jechałem pociągami to troszkę szczelinkami wyglądaliśmy. Jak wracałem, to więcej widziałem. Step. Nic na świecie nie ma. Są chwasty, gdzieś tam. Ale drzewa nie ma nic. Wielbłądy są, gdzieś tam sobie jadą. Męczą się te Kazachy, w kożuchach jeżdżą.

Przychodził wieczór, 7 godzina, to zmiana warty była u nich; jedne zdawali, drudzy przyjmowali. My wszyscy na dwór musieliśmy wychodzić, w dwójki, w czwórki, zależy jak kto rządził. A nie, to do aresztu. Posiedziało się 3 dni, jeśli nie dali więcej, to wypuścili. Jak przeliczyli to wtenczas na zamki, na klucze nas pozamykali. Okna można było otwierać, bo wszędzie były kraty. Dlatego okna byli otwarte, ale drzwi zamknięte. *Parasza*, jak to nazywano; 70 osób, a różnie ludziom się zdarza. I żołądek zmarnowany i to. To wszystko nam dzisiaj wychodzi, jak to się mówi, bokiem. Ale wtenczas jak się żyło; jak trawkę znaleźliśmy, to nas 20 osób siedziało przy szklance i oglądało tę trawkę. Wtenczas zrozumiałem ja osobiście, jak trzeba cenić kwiaty. U nas [w domu] byli łąki — kwiatów i kwiatów, człowiek toczył się po tych kwiatkach. A tam [w odozie] to się wspominało.

Jaki tam kolor dominuje? Żółty?

Szary. Żółty to ja bym nie powiedział. Więcej piaskowy.

Acha, a druga rzecz najważniejsza, te robocze buty, co i u nas bywają, z cholewką. Dobre były, nie powiem, że złe, że gorsze nasze. Ale jak deszcz popadał — chociaż on tam bardzo mało padał, ale jak popadał i tylko się wyszło, to już



zelówka została. A ziemi było, na tych kamieniach, miejscami i 20 cm, ale przeważnie (szybko powiedzieć) 5 cm, niedużo. To się kleiła ta glina. Myśmy to glina nazywali; jak butapren. Jak nastąpiłeś, już i boso poszedłeś. Musieliśmy po deszczu czekać, a to było szybko jak deszcz przeszedł. Bo tam gorąco i szybko wysycha. Ale powietrze wtenczas było inne. Tyle, że ten deszcz mało padał, do roku raz, dwa razy. Ale padał. Trzeba było umieć chodzić po tej ziemi. A zimą to znów chodziliśmy po linkach do stołówki — takie zamiecie były. Latem też były zamiecie, te wiry przechodziły. Śnieg jak padał, zimą dochodziło do 40 stopni mrozu.

Długo tam zima trwała?

Mniej więcej tak, jak u nas. Z tym, że wskazanie tutaj, bo gdzie byłem dalej to były różnice. Wiosna była o tej samej porze, o tym samym czasie, nie było dużej różnicy. Tylko po godzinach była różnica. A ile godzin, to ja nie wiem, cztery czy pięć. Ja już tak dokładnie nie wiem. MAGADAN to wiem, że prawie 11 godzin różnicy, w porównaniu z Leningradem; 10 godzin 45 minut.

Czy pamięta Pan jakieś większe transporty więźniów do KINGIRU?

Do KINGIRU dochodziły transporty różne. Przeważnie dochodziło po 300 ludzi, 500, 1500. To już ja mniej wiedziałem, ale wiedziałem. Na przykład jak BOLEK WALUK przyszedł, wtedy przyszło coś 500 czy 400, niedużo ludzi.

Ale z KINGIRU też ciągle odsyłano etapy, tak? Czy taka duża śmiertelność? Gdzie mieścili się ci nowoprzybywający?

Nowe kopalnie, większość ludzi do kopalni. Odsyłano, ale niedużo odsyłano. Przestępców odsyłano. Oni sobie wymyślili, na przykład mnie wymyślili i z tego przerzucili do KAZACHSTANU. To przecież ja byłem tam niewinnym, to oni sobie wymyślili: hop! i nas przerzucili. Nie chcieli trzymać narodu wciąż w jednym miejscu, za duże znajomości dochodziły. Tam ja nie miałem takich znajomości, a na przykład już w MAGADANIE miałem znajomych. BOLEK PILŻYS — na jego adres pisałem listy. On otrzymywał listy i przynosił mnie pocztę i dlatego listy prędzej dochodziły, to znaczy w ogóle dochodziły. A do obozu to nam zezwalano cztery razy niby pisać do roku.

Cztery, tak?

Niby. Ale zbierali oni mniej więcej dwa razy. Po zakonie ichnim to było cztery razy, ale oni raz, dwa razy zbierali listy i cenzurowali; można było napisać: „Jasiunio zdrowy” i nic więcej. Wysłali lub nie wysłali i nie było wiadomo, czy list doszedł, czy nie. Ale przychodzili listy. Ja osobiście nie miałem, ni przyjscia ni odejscia. Bo rodziców w domu nie było, rodzice też siedzieli, później rodzice byli też na wolności. Rodzice prędko wyszli z tego obozu. Tatuś mój już siedział tam drugi czy trzeci raz. Aby skasować człowieka. Normalnie niszczenie ludzi. Było mnie ciężko pisać, nie miałem możliwości takiej, listy nie dochodziły, a gdzie można było to się pisało. Ale żeby takie przepiski duże to nie.

Słynne rozwody. Mąż Pani pracuje w zakładzie, Pani także, w tym samym. Tam przeważnie oni trzymają się, żeby — tam, gdzie się mieszka, tam i pracuje. I mąż Pani i syn. Znaczą starali się nie dopuścić ludzi do innego zakładu. Gdzie się mieszało tam pracowało się. No i oni namyślili, bo ja byłem w MAGADANIE ochotnikiem do pracy. Myśmy spotykali taki okręt, tu gość ten, nazwisko mi wyleciało, pracował ze mną razem tu, w Polsce w zakładzie jednym. I on przyjechał jako ochotnikiem. Ich 6 tysięcy osób przywieziono okrętem z MOSKWY. Zostawił w domu żonę, dziecko, w MOSKWIE. I jego przywieźli jako ochotnika. Ja ich potem uczyłem dziury wiercić jakie, jak pracować trzeba, chyba ze trzy miesiące uczyłem. Tam byli inne warunki. Wszystkie bary do 2 — giej były otwarte i można było chodzić i jeść, co się chce. Po miesiącu przyszła im wypłata i pół ichniego zarobku poszło na te bary. Przepili, przejedli a oni zapłacili. Na ochotnika przyjechali i koniec. Co nie zarobili 200 rubli, a stoi w bufecie i ile, 50. I rób, co chcesz. Ich niby inaczej przyjmowano jak nas, bo nas pod bronią. Bo nam jaka pościel, ale dano ją, koc jakiś dany. A im nic nie dano. Co przywiózł z sobą, to przywiózł. Dano im niby to łóżko, też do kupów pozginali ich. I teraz dlatego to opowiadam. Jemu została w MOSKWIE żona. Przeważnie się żenią tam, w miejscu pracy, dokąd przyjechali. Paniusie też poprzyjeżdżali, mężów pozostawili, a ona z drugiego zakładu i oni siłą wygnali. Ale ona przyjechała na ochotnika. No i rodzina pomieszała się. Rozwód już niepotrzebny, jak on w KAZACHSTANIE mieszkał, a ona w MOSKWIE, i kończyło się.

Tak obóz idzie. Pobudka rano, do stołówki rano, szło się do stołówki, a ci podjeżdżali. Jak wyszedłeś ze stołówki, to gorsze głodnyś, jak do stołówki. Co z tej zupy, kapuśniak był, to na dole leżała jedna czwarta, jedna ósma listka, zupa zielona. Dostało się 500 gram chleba, jak mówiłem — bochenek zjadłem dwa i pół kilograma na raz. Więc jaki apetyt! a trzeba go zostawiać. Muszę przyznać się, że tu byłem cierpliwy. Trzeba było, jaki nie byłeś głodny, zostawić ten kawałek chleba na obiad, na kolację. Bo jeżeli zjadłeś, nie zostawiłeś, to było bardzo źle. Niby to na śniadanie mogłeś zjeść wszystko, to na obiad nie miałeś nic, tylko tej zupki trochę. Drugie danie było rzadsze, jak to pierwsze.

Czy w KINGIRZE przed tym powstaniem były jakieś mniejsze strajki, protesty?

To się, myślało się tylko, że to drugie, ale tego nie było. Były takie, ale to nie mogło dochodzić, na razie było wszystko pojedyncze. Za małe to było zgrupowanie. Ale jak to nastąpiło, ja nie rozumiem jakim cudem. Wszyscy na raz „stop”, i koniec.

A przedtem co? Tylko jakieś brygady chodziły?

Jakieś brygady tu były, ktoś tam niby szedł, ale to prędko ich zmywano. To nie było tak. Było to, że jak wychodzili do pracy to rozstrzeliwano nas, duszono nas, różnie.

To znaczy rozstrzeliwano tam po drodze, tak?

Normalnie strzelali. Ale takich powstańców to tylko organizowało się, nigdy to coś nie myślało się, to jeszcze nie było. A tu jak nastąpiło, to trzeba przyznać, że naród nam, ja nazywam: z ulicy, pomógł. Nam chcieli donosić chleba,

to drugie. Ale myśmy mieli zapasy duże. W tym obozie siedzieliśmy okrążeni, byli w murach przebite dziurki, oni namawiali nas przez te dziurki, żeby uciekać.

Na zewnątrz, tak?

Bo wartownia stała, ale myśmy też stali, myśmy też pilnowali, żeby nikt nie uciekł. Bo ludzie uciekali. Nasi ludzie – ja nazywam „nasi”; nie to, że Polacy.

Więźniowie?

Wszystko, więźniowie, i niektórzy uciekali.

Na początku, czy później też?

Na początku, później też, ale już mniej. Na początku uciekali, bali się niektórzy tego wszystkiego. Ja nie mogę dokładnie, ale parę setek nam uciekło tych ludzi. Oni wtedy dziury przebijali no i wtedy uciekali, a myśmy wartę trzymaliśmy, żeby nam nie uciekali. Oni nas bali się. A najważniejsze, że im żołnierze odmówili pierwsi. To też już było dużo. Myśmy myśleli, że tutaj dużo więcej wygramy.

Jak to się zdarzyło, że oni odmówili? Widzieliście to? Padł rozkaz „strzelać”?

No, rozkaz też, a oni – w tył zwrot i poszli. Było widać, wyraźnie. A ci [później] to dali czołgi, a za czołgami szli żołnierze. Jak myśmy to nazywali, kosili oczy te...

Ażjaci?

Acha, Azjaci. Ci, co jeszcze chodzili w czasie wojny, co ja widziałem. W ichnich mundurach, normalne mieli takie kurtki i płaszcze uszyte. Ja nazywam „dziki naród”. Bo tam jest dziki właśnie, co nie widzieli dobrego. Na ogół Rosja cała dzika.

Od czego według Pana zaczęło się powstanie?

Najważniejsze rozstrzelanie i najważniejsze głodowanie. To były warunki życiowe.

Mówił Pan o tych błatnych, których specjalnie wrzucono do obozu, żeby zajątrzyć sytuację, tak?

Tak, oni nam ich rzucili, bo chcieli ich napuścić na nas; żeby oni podjęli [podjęli] ten bunt, jakieś rozruchy, by wtenczas nas... Jak ich tam przyszło na przykład 100 czy 500, obojętnie, to oni mogli nas brać dziesięciu czy dwudziestu i bić, czy nas na portiernię. Drudzy wtenczas nas po dziesięciu, po dwudziestu czy po setce wyciągaliby, wyciągaliby i nas zostaliby mało i nic by my nie zrobili.

Ale to im się nie udało, tak?

Tak. Nam się udało, ja nazywam. Im się nie udało, bo oni nie dali rady, ci Rosjanie, *bytowyje*. Zrozumieli, że tutaj naród nie jest ten, co ich. Bo ich wprost napuszczono na nas. A oni zrozumieli. Na przykład ten HENIEK STAWRYŁŁA, on umiał z ludźmi takimi porozmawiać. I oni ich, tam prędko to ichnie dowództwo, jak to się mówi tych *błatnych*, oni mają, których słuchają. Więc prędko.

To znaczy dogadaliście się z błatnymi?

Dogadaliśmy się. I oni poszli, ja bym powiedział, ręka w rękę z nami.

A długo byli w waszym obozie?

Do samego powstania to byli coś koło miesiąca. Już tu ja dokładnie nie powiem. Kilka tygodni. Ale my, myśmy z nimi prędko...

Nie było żadnych śpieć?

Nie! Takich dużych śpieć nie było. Takie niby zatarcia, takie niby tam. Na przykład. Oni przychodzą do stołówki i od razu biorą to i już jedzą. Oni takie interesy potrafili robić. To im w grzeczny sposób: „Dlaczego ty wzięłeś to...”. Daję Pani taki drobny przykład: „Dlaczego to wzięłeś? Po co? Usiądź. Dzień dobry powiedzieć. To drugie. Ale nie, tak się u nas nie robi.” I oni wtenczas zrozumieli, że to naród nie jest ten, co im powiedziano. I oni pozostali przy nas i to powstanie już nastąpiło przy nich. Oni byli z nami.

A później, jak oni nas rozbili, bo nas rozbili czołgami, Tu – 34 je nazywają, ja sam siedziałem w baraku, lufa weszła w okno, parterowe baraki. Pcha i ścianę rozwała. Dym, kurz, gazy, strzały. Przecież wtedy nas pobito. Dokładnie ja tego nie powiem, ale to co ja widziałem to dużo nas pobito. Solżenicyn tu opisuje, że 1000 ludzi; ja nie pamiętam dokładnie, ale tak liczę leciutko, że 500 ludzi poległo. Napewno. Kobiety dużo. Oni więcej natarcia zrobili na kobiety. Kobiety w tym buncie popisali się nam lepiej, jak mężczyźni.

Tak? Dlaczego?

No odważnie one poszły.

To znaczy w momencie natarcia?

Tak. W momencie natarcia. Jak natarcie nastąpiło, to kobiety dużo pokazali. Mężczyźni swoją drogą.

To znaczy co?

One te czołgi paliły. U nas granaty byli, butelki. Dużo rzeczy. Swojej roboty granaty. Tak! One były śmielsze od nas.

A ile czasu trwało to natarcie czołgów? Błyskawicznie opanowali obóz?

To rano gdzieś, ciężko mi powiedzieć; godzina piąta, czwarta rano. A kończyło się gdzieś po południu. To nie mogło kończyć się tak szybko.

Ja wyszedłem na to pole, wyprowadzili mnie – była godzina druga, ciężko mi powiedzieć; pierwsza? trzecia? Największy strach brał, jak się wyszło za te mury.

Jak już wyprowadzali?

Tak. Ja myślałem, że nas, że mnie od razu rozstrzelają. Niby nie myślałem, że oni tak będą z nami postępować, jak



było. Wyprowadzili nas, położyli na polu i nic nam nie robili. Nic strasznego takiego nie robili. Kazali leżeć i koniec. A ja liczyłem, że od razu nas będą brali i rozstrzeliwali. Ale nic podobnego. Było inaczej. O, pan POPLAWSKI był tam, ja tego zapomniałem, W KINGIRZE.

GRZEGORZ KOZERA to jest ksiądz, który dawał mi ślub; zmarł w Lublinie. KORKUĆ STEFAN w WILNIE. KLIMOWICZ JANEK (mieszka w Gdańsku, ul. Łękowa 35/38 m.16). ŚWIACKI TADEUSZ, umarł w Polsce.

Nie pamięta Pan, kiedy wybuchło powstanie w KINGIRZE?

24 czerwca.

Ale zaczął Pan „gdzieś 15”.

A może 15. Ale to można zawsze odtworzyć.

A to ja wiem, ale wolę, żeby Pan sobie przypominał.

25 kończyło się to wszystko. 25 lipca było koniec, a trwało to 40 dni — trzeba to policzyć.

I to była niedziela?

Chyba nie.

A czy w ogóle niedziele tam były dniami wolnymi?

Szybko powiedzieć — tak. Ale nigdy ich nie było. I teraz ich nie ma. Jest, że to święto, dzień wolny od pracy.

Wiedzieliście, że w ogóle są niedziele, jeśli nie były wolne?

Wszystko wiedzieliśmy.

Tak? Byliście trzymani w zamknięciu.

Chodziliśmy do Komunii. Ten ksiądz KOZERA (tutaj, w Polsce dawał mi ślub). Taki POPLAWSKI, wrócił kilka lat wcześniej do Polski; ja otrzymywałem od niego gazety z pięciodniowym opóźnieniem. Że później się dobiłem tak, że mi konsulat polskie z MOSKWY przysyłało gazety. Dwa dni opóźnienia. I później doszło do tego, że enkawudziści, wcale już nie wojsko, tylko NKWD przyczepiło się do mnie, że ja politykuję. Wtedy akurat był XX zjazd; że ja inaczej gadam, jak jest. Nas tam jeden pan pogryzł, jak to się mówi, przyczepił się do mnie. A ja mu od razu odpowiedziałem: „Przynieść gazetę?” „Przynieś”. Przyniosłem. „Co chcesz — mówię — zabierz gazety, nie dawajcie mnie ich i nie politykujcie za mną. Raz gazetę ja czytam i opowiadam to, co ona pisze. A więcej ja nic nie opowiadam. Czy po rosyjsku czy po polsku, proszę bardzo. Czytasz po polsku? Czytasz. Przesyłasz ją, dajesz mi do czytania.” To on odwrócił się ode mnie.

Wróćmy jeszcze do powstania. Jak się zaczęło — dogadaliście się z białymi...

Mówiliśmy wszyscy, że nie idziemy do pracy. To był początek. „Nie idziemy jutro do pracy”. Przyszli ludzie wieczorem, jeden zgasił światło — takich wybryków u nas było już do powstania dużo, że „jutro robimy to i to”. Przychodził gość, zgasił światło — wszyscy cicho, ale on nie chciał, żeby go widziano. Zgasił światło i mówi: „Jutro nie idziemy do pracy, bo będziemy robili to i to”. I wyszedł. Ten z nas, który doszedł i światło zapalił, to jemu nic nie było, tej osobie.

Przychodził Polak i mówił do Polaków, czy do wszystkich?

Nie. Nie, że Polak. Tego nie można powiedzieć. Ja wiedziałem kto. Polacy też chodzili, ale najmniej Polacy. Najwięcej chodzili Rosjanie.

To znaczy do wszystkich, do całego baraku mówił?

Wszedł, jak było nas tam siedemdziesięciu czy setka, obojętnie, ilu ludzi. Byli baraki różnych rozmiarów, po 120 ludzi najwięcej, 128. 70 tak średnio. A wyjątkiem byli baraki tych pracowników, bo z nas, z więźniów, byli przeważnie Rosjanie pracownicy; *naradczyk*, nie *naradczyk* — wypuszczał do pracy, brygadę organizował. To był normalny więzień. Polityczny, nie polityczny. Acha, między nami politycznymi byli jeszcze z artykułu o zabójstwa. Nie pamiętam, co to za artykuł. Ci, co ludzi zabijali, tych też wsadzali z nami. Oni mieli duży wyrok — 25 lat. Mało ich było, ale wyjątki, że byli. Siedziało dwóch szwagrów, siedzieli za głupstwo, dostał 25 lat. To, że za głupstwo i ja siedziałem, to druga rzecz. Przecież za co siedziałem? Przecież ja Rosjanów nie biłem, z Rosjanami nic nie miałem do czynienia. A oni [szwagrowie] sobie popili, w stajni czy gdzieś, któryś brat karmił konie i szli, jak to po wódce, podpiłi. Z płotu wyrwał deskę, w niej był gwóźdź. Gwoździem uderzył w głowę i na miejscu został zabity. Jak oni w pięciu pili, tak i w pięciu ich osądziło. Po 25. Jeden tylko zabił się — tego jednego trzeba było sądzić.

Więc jak ruszenie nastąpiło, to każdy z nas... Oni faktycznie szumu dużego nie robili. Przy portierni nas mało się kręciło, oni tak chcieli. Idziemy, idziemy, idziemy, ale to nastąpiło i koniec. I do pracy nie.

To znaczy ktoś z was stał na portierni i pilaował, żeby nikt nie wyszedł?

Przy portierni, z daleka. Ale na portierni byli ci żołnierze i wszyscy.

Ale w pobliżu wy byliście?

W pobliżu my.

Żeby nikt przypadkiem nie wyszedł?

Nie wyszedł. Wtenczas zaczęli w ścianach — bo wszystko ogrodzone było murem trzy i pół metrowym — przebijać dziurki; jak całe drzwi, duże. To myśmy też wystawiliśmy wartownie.

Od razu te dziury zaczęli robić?

Od razu.

Tego samego dnia, tak?

Tak.

To było rano? Rano się zaczęło?

Ja to nazywam, że z wieczora. Z wieczora już ogłoszenie było, to człowiek przyszykowany, już nie spało się. Co będzie? Jak będzie? Myślało się różnie — a może już i dom zobaczy się? Przecież człowiek nie myślał o życiu, że wróci kiedyś do domu. Mając 25 lat [wyroku]; ja miałem 23 lata, jak mnie dali karę śmierci. To nie żarty. Człowiek wtenczas zaczął przeżywać, zaczął dużo palić. Co miał to miał, wypalili zapasy; tak to się wypaliło jednego we trzech, we dwóch. Ostrożność była taka.

Najważniejsza stółówka poszła pod nasze rozporządzenie. Już się znaleźli ludzie, chleba od razu po 100 gram mniej dali. Myśmy nie wiedzieli, ile czasu to będzie. Zapasy tam były zgromadzone, bo na miejscu były magazyny, mąka, wszystko; tymi zapasami trzeba było się rządzić. Dochodziło pod koniec, to jeszcze zdaje mi się 300 gram chleba. Żeby te zapasy przeciągnąć jak najdłużej. Ale oni przyspieszyli [koniec strajku]. Fakt, że u nas zapasów wystarczało.

A nadzór obozowy pozostał tego pierwszego dnia na terenie obozu?

Na terenie obozu znikli. Wszystko zniknęło.

I bez żadnej walki na początku?

Bez walki. Tylko z tym, że uciekało naszych. Byli nasi, jak powiedzieć, zdrajce, donosiciele; to oni wszyscy uciekli. Prędko. Który był dla nas niewiadomy, to zwiął. Ale z tych, jak ja ich nazywam, tych łobuzów, *bytawików*, to nie uciekli ani jeden. Oni byli, nikt z nich nie uciekł. *Bytawiki* nam najwięcej pomagali. Oni byli dzielni, nie bali się. Oni pozostali z nami. Chociaż Rosjanie liczyli, że oni pójdą. Przywieźli ich, myśleli, że narobią tego szumu, a oni wejść wtenczas do środka. No i nie udało się im. Myśmy z *bytawikami* domówili się. I tak to trwało.

A kiedy przyszło to wojsko, które odmówiło strzelania do was?

O, to gdzieś po dwóch, trzech tygodniach. Tego dokładnie nie wiem.

A do tego czasu dawali wam spokój?

Różne takie porozumienie było. Myśmy wysyłali balony do góry, myśmy te...

Balony czy latawce?

Takie balony, takie latawce, no. Broń robiliśmy, piki robili, kuźnia pracowała. Wszystko do zbrojenia się.

A kto tym dowodził? Była jakaś komenda?

U nas był KUŹNIECOW, a dowodził tym wszystkim ten, który książkę pisze [Solżenicyn]. Tylko, że on nie był z nami. Ale to jego robota. A u nas był KUŹNIECOW, jego zastępca.

Pan znał przedtem KUŹNIECOWA?

Znał, tak. To człowiek był taki, co to po 23 latach swego życia mniej jak 6 tysięcy ludzi nie miał pod sobą. Był w stopniu, jeżeli się nie mylę, podpułkownik czy pułkownik. My liczyliśmy wtenczas, że on nas — 11 tysięcy — też miał pod sobą. Ten umiał dowodzić. I był czysty Rosjanin, ale przeciw rządowi. Przeciw temu wszystkiemu; że człowiek ma rację i swoje prawa. On mniej, jak 6 tysięcy ludzi pod sobą nie miał nigdy. I ja z nim rozmawiałem, dużo nie, ale...

On był znaczącą postacią konspiracji przedtem czy dopiero wypłynął w czasie powstania?

Wszyscy nie wiedzieliśmy na przykład tak dużo, że to on. A później, jak on był, było zrobione biuro tych całych...

Komendantura?

Cała komendantura. Schodzili się, naradzali i on wszelkie rozporządzenia, na przykład: jutro nie dać chleba, soli czy coś, wszystko ostrożnie — to wszystko było z jego rozporządzenia.

A czy był jakiś Polak w tej komendaturze?

No ma Pani HENKA STAWRYŁŁĘ, LEGUNA.

Nie, pana STAWRYŁŁY nie było chyba wtedy w KINGIRZE?

Był.

Mówił mi, że przed samym wybuchem powstania wywieźli go etapem, do więzienia.

HENKA STAWRYŁŁĘ? Nie mam pojęcia.

A LEGUN?

LEGUN to był.

I właśnie w komendaturze, tak?

On do komendatury też chodził. Ale on nie był tam... Ale schodzili się tam, narady różne. On z Polaków.

A może jakiegoś Ukraińca Pan pamięta z komendatury? GLEB albo GLEBOW, nie pamięta Pan?

Nie. KUŹNIECOWA to dobrze pamiętam. Z Ruskich było tam dużo. Ja w ogóle nazwiskami z tego KAZACHSTANU nie mogę operować. Za mało znam tam ludzi. Wszystko razem to byłem tam 5 lat. 5 lat w KAZACHSTANIE i 5 na KOŁYMIE.

Podobno Polacy radiostację w KINGIRZE założyli?

No widzi Pani, wiem, że założyli ale kto? jak? znów nie mogę podać. Polacy? Ja bym nie powiedział, że tak czysto Polacy. Zrobili, Polak, był przy tym...

Jak w ogóle wyglądało życie codzienne podczas powstania? Czym się ono różniło od normalnego? Nie chodziliście do pracy, a co robiliście?

Nic. Tak szybko powiedzieć — nic i wszystko. Jak tak [przedtem], to siedział na śniadanie, do pracy. Z pracy na obiad. O której tam z pracy przychodziłeś, siedział na obiad. A tutaj [w czasie powstania], to niby siedział na śniadanie, ale z takim napięciem, pod strachem. Mówię to, co ja odczuwałem. Człowiek nie był nigdy pewny, gdzie nastąpi na coś. Spodziewałem się, że w każdej chwili oni mogą na nas wpaść. I nie lubiłem sam chodzić. Ja do wszystkich mówiłem: „Trzymajmy się kupy.” Bo jak nas dziesięciu, a wpadnie dwóch żołnierzy, to można coś zrobić. A sam na



sam to schwycą nas i wyniosą. I koniec. A jak mnie schwycą i wyniosą to wiadomo — rozstrzelają. Człowiek się tego obawiał. Wtenczas (mówię tylko o sobie) człowiek zaczął myśleć o sobie, co może nastąpić. Bo jak mnie dano karę śmierci, te 25 lat, to się śmiałem z tego. Bo mówili nam: „Albo osioł zdechnie, albo pan zdechnie, albo ktoś” Coś ma się zmienić. Ale tutaj to nie byli żarty. Tylko, że ja się nie bałem tego, co nastąpi, co będzie — zabiją, nie zabiją. Człowiek chodził w takim naprężeniu. Nie szedł spać człowiek takim spokojnym. Najmniejszy szelest jakiś to już; to nie żarty byli. Przedtem, jak myśmy spali, to nas pilnowali i drzwi nam zamykali. A teraz myśmy musieli stać w drzwiach i patrzeć — kto wejdzie, kto przyjdzie, co będzie mówił. Wciąż wszystko ostrożnie, wszystko w napięciu. A że roboty nie było, to ja mówię, że z drugiej strony to jeszcze było gorzej. Bo człowiek żył w napięciu. Nasze radio podawało, ichnie radio podawało. Gdzie coś to wszystko inaczej. Myśmy żądali twardo, żeby przyjechali z MOSKWY, to oni podawali, że przyjdzie, że nie przyjdzie... Tak to wszystko się toczyło.

Chleba nam przywozili, dawali — wolni z KINGIRU. To było śmieszne: Przez portiernię wóz przejeżdżał, chleb rozwożą. Dla nas to było dziwne.

Jak stan wojenny wprowadzili tutaj, ja akurat, niewiedząc nic, jechałem na rowerze w stronę Warszawy. Było dla mnie dziwne. Wszystko milczy, wszystko cicho i człowiek nie wiedział, co robić. Jakim krokiem stąpić. Tak i tam było. Wszystko wydawało się niby to proste, ale to wszystko było dziwne.

Później wziąć kobiety. Przecież trzeba tu powiedzieć znowu czystą prawdę. Wydawało się mnie, że to, ho, kobiety, przecież byłem kawalerem... Dla mnie kobieta była to samo co mężczyzna. Ja nie stawiałem sobie oporu, o, że ja rozmawiam z panną czy z mężatką czy z kim. Tam to wszedł ktoś — wszedłem ja czy ktoś inny, czy BOLEK WALUK, czy kobieta — dla mnie było jednakowo. Człowiek był jakiś obojętny. Kobieta nie kobieta była. No to co, że kobieta? no przyszła. Przecież ona nam tu pomaga [w czasie powstania]. Nie było tego, żeby kobiety nam prały. To było ciekawe. Kobiety nam nie gotowały. Nic nie było. Kobiety swoje robiły, my swoje robiliśmy i tak żyło się. Niektórzy [w czasie powstania] chodzili do kobiet, nie to, że nie chodzili. Ale to było bardzo mało. Nie było żadnego naruszenia. Przecież nas, mężczyzn, było tylu, że mogliśmy na te kobiety, wie Pani. Nic podobnego.

Nie zdarzały się żadne wypadki?

Żadne wypadki nie zdarzały się. Mogło tam coś się zdarzyć, ale to wszystko było cicho, ukryte, żadnego nie było naruszenia. Ni gwałtów, ni niczego nie było. To jest ważne dlatego, że my liczyliśmy się, że my ludzie — mężczyźni, ale one kobiety i to była ich zaleta wielka. Ja mówię, że kobiety były odważniejsze czym my. Bo to były kobiety, zawsze kobieta zostaje, ja nazywam: lepiej do karabinu nadaje się mężczyzna czym do prania mężczyzna. To jest całkiem coś innego. Jakby nie było prać kobiecie lepiej idzie. Tak samo tam było.

A strach już był. I byłem pewny, jak nas wyprowadzą za ten mur, że nas na miejscu rozstrzelają. A oni z nami jeszcze rozbierali się.

A wyście w tym powstaniu to o wolność walczyli, czy o co?

O warunki bytowe. My nie mogliśmy żądać, żeby nas [wypuścili]. Ale myśmy wiedzieli, że nam powinni dać więcej jeść, że nam powinni płacić, że nam powinni pościel dać, na przykład. Najważniejsze to były te rozstrzały. To było najważniejsze. Że tą wolność to nam powinni dać inną. Pod karabinem gorzej jak psów nas prowadzali. Im było obojętne zastrzelić człowieka. A rozstrzały były. I wystarczy, że jednego zabiją, to już było dużo. Nie było dla nas obojętne, że kogoś zabili. Człowiek to przeżywał. No jak to? Wziął niewinnego całkiem — chociaż jak papierami to wszyscy byli niewinni. Myśmy byli winni, ale tylko nie dla Rosjanów, że nas tak męczyli. Za co mnie sądzili, za co ja siedziałem, to teraz też nie powiem Pani.

Czy w czasie buntu w KINGIRZE dawano śluby?

Nic nie wiem.

A to możliwe?

Mogły być. Ale ja nic nie wiem. Z tych księży, ten sam ksiądz, o którym opowiadałem, mógł dawać ślub. Ale ja tego nie powiem.

KOMAR WITEK tam był, z mojego oddziału, byliśmy razem w AK. Nie wiem, gdzie teraz jest. Tam, w KINGIRZE, spotkaliśmy się. On z moich stron pochodzi. Z LEGUNEM my jego szukamy i nie możemy znaleźć.

W czasie powstania były występy teatralne?

Były.

Często?

Bo ja wiem? Chyba dwa czy trzy razy. Bardzo mi się podobały. Przeważnie tam Cyganie byli i Rosjanie przy tym. Cyganie tam dużo pokazywali się, śpiewali. Na warunki tamtego życia — w stołówce okna się zawieszało, w stołówce to odbywało się. U nas stołówka, tam gdzie chleb wydają, było na środku obozu.

A w którym Pan był obozie, w drugim czy w trzecim?

W drugim.

Rysowaliśmy z LEGUNEM i HEŃKIEM STAWRYŁĄ plan obozu, każdy sobie. Później jak złączyliśmy, wszystko było tak samo. I u LEGUNA jest cały plan, będzie w jego książce. LEGUN pisze i HENIEK też pisze.

W końcu przyjechała do was komisja z Moskwy, tak?

Przyjechała, jak już było wszystko w porządku, wszystkie murki pozamurowane z powrotem. To po moim wyjeździe, co dla mnie wiadome — gdzieś po miesiącu. Wtenczas ta komisja przyjechała. A przy nas komisja nie przyjechała. Oni tylko tego się bali, żeby komisja nie przyjechała. Fakt faktem, jest to dowód; narzekamy na

STALINA, ja sam wiedziałem dużo rzeczy, co on narobił złych, ale dużo robili oni sami na swoją rękę. Na przykład to liczenie, skąd tam STALIN wiedział, jak nas oni liczą. Nie ma co mówić.

Oni swoje robili, tak jak Hitler. U nas w SZCZUCZYNIIE był Niemiec, to jak mu drzwi nie otworzono, to szedł i wszystkie okna wybijał. Tak samo i Rosjanie robili. Stalin Stalinem, a oni wyrabiali też z nami cuda. Bogacili się za naszą pracę, żyli z naszych prac.

Jak naczelnik kierował, jak on nas karmił — przecież jego nikt nie kontrolował. Rozstrzelał dwóch lub trzech, a reszta bała się i koniec. Bez broni, co my możemy zrobić? A tu doszło do takiego starcia, [do powstania]. Ale — zawdzięczając, co ja najwięcej wiem, temu KUŹNIECOWI. Ale do tego dochodzić mieli inne zakłady, powstać oddziały i ten cały, co książkę pisze, SOŁŻENICYN — to jest jego robota. I ja byłem pewien, że SOŁŻENICYN nie ma na świecie już. Ja byłem pewny głowę oddać, a teraz nie wiem, czy i KUŹNIECOW nie jest. Byłem 100% pewny, że SOŁŻENICYN nie ma, a on się znalazł. Pierwsza znalazła u mnie żona, przez radio usłyszała.

Czy będąc w KINGIRZE słyszeliście o huntach, strajkach, w innych miejscach, w innych łagrach?

No najważniejsze o tym, co Pani powiedziała, ten Pan co pisze o NORYLSKU [znaczy się Tomasz Gleb].

Tak? A skąd wiedzieliście, że w NORYLSKU coś było?

A to trudno mnie powiedzieć, skąd nie mogę odpowiedzieć.

Czy np. był jakiś transport z NARYLSKA?

Tak. To był przerzut ludzi. Na przykład u nas było powstanie i wzięli LEGUNA i zawieźli do NORYLSKA prawdopodobnie. To tam był taki obóz słynny. A mnie wyrzucili do MAGADANU. Okazało się, że w MAGADANIE było 100 razy gorzej niż w NORYLSKU. To już ja to wiem. Ja akurat szukałem, nie mogłem znaleźć, po rosyjsku to jest udostowierzenie — książeczka pracy. Tam bywszy w MAGADANIE. LEGUN się teraz dziwi, jakim cudem ją mam. A mnie trafiło na dobrego Rosjanina, który tam pracował w bhp, więźniem bywszy. Wiedział, że ja do Polski jadę. Mówi: — „Tobie będzie potrzebna taka książeczka, że ty tu pracowałeś.” Ja jak dyktowałem, tak on pisał, poszedł do oficera, tamten podpisał. Ja teraz mam spokój, ja mam dokumenty. Ludzie teraz starają się, świadków szukają. Ja nie. Ja tylko przyjechałem, z miejsca dostałem miesiąc urlopu. Bo miałem 10 przeszło lat pracy. Kierownikowi było dziwne, bo w lipcu nikt nie idzie na urlop, a ja mówię: „To ja pójdę”. Personalny też oczy wytrzeszczył.

A o EKIBASTUSIE coś było wiadomo? Tam był jakiś strajk. EKIBASTUS niedaleko chyba od KINGIRU?

To coś 30 czy 50 kilometrów.

No i co tam było? Co mówili? Czy był jakiś duży transport z EKIBASTUSU do was?

Chyba mały, trzydziestka do nas przyjechała, jeśli się nie mylę. Nie mogę dokładnie ilości powiedzieć. Po mojemu ze trzydziestu ludzi przyjechało.

Ich tam postrzelali?

Nie, tam nie było strzelaniny. Tam niby strzelanina była ale tam nie była taka... Największa strzelanina to była u nas. A w tamtych nie było strzelaniny. Jak było, jak oni ich tam dusili, to ja już tego nie pamiętam. Ale fakt to, że tam nie było. Bo na nas poszły czołgi, to jest najważniejsze. A jak poszły czołgi, to za nimi w dwuszeregu, w trzyszeregu wojsko. I napadali wprost na nas. A jak ja sobie zauważyłem, że idzie, to usiadłem sobie z boku, przy tej ścianie, zapaliłem papierosa, a on z lufą tu idzie. I celuje. I już z tych drzwi, z tych drzwi, ściany. Szybko. Bo to ja nazywam „pustaki”, ale to z gliny; oni szybko. 10 bagnetów, dziurę zrobili, okno, to drugie i już weszli.

I strzelanina w tym czasie była?

Strzelanina, ale oni przeważnie strzelali z gazu. Puszczali do nas. Już jak nas zdobywali, to w pomieszczeniu nas brali gazem. A na ulicy strzelali. A że ja byłem w pomieszczeniu, to ja wzięty w dymie. Schwycili mnie i ja już, nie wiedziałem nawet kto mnie bierze, prawie nie widziałem od tego dymu. I jak na dwór wyszedł to wtenczas patrzę: „Acha, już koniec”. Człowiek myślał, że wyprowadzą w pole i rozstrzelają. A tu nie; „Łożys” i wszystko. A tam stało wojska... Tak szybko powiedzieć, to kilka pułków. Przecież nas było 11 tysięcy, chyba trochę więcej. To nie żarty. A wojska też 11 tysięcy. To siła była. Z bronią, dużo. Takie czołgi to już broń.

A wy nie mieliście żadnych pistoletów?

Przecież my wszystko mieliśmy, ale to nie pistolet. Myśmy wszystko mieli — piki nie piki, granaty nie granaty. Wszystko własnej produkcji. Żebyśmy może byli inaczej podpuszczeni, prawdopodobnie można było zdobyć broń. Ale jakoby dali rozporządzenie — „nie”.

Wasza komendantura, żeby nie brać?

Tak.

To znaczy, broń była gdzieś na terenie obozu, czy mieliście wyjść na żołnierzy po broń?

Żołnierze, mogliśmy zdobyć. Od żołnierzy zabrać. Ale jakim cudem, że my broni nie mieliśmy? Granaty mieliśmy, ale wszystko swojej roboty. Radio nie radio. Wszystko swojej roboty.

A czy spodziewaliście się aż takiego ataku?

Tak. Na wszystko spodziewaliśmy się. Ten KUŹNIECOW przemawiał, normalnie wychodził i przemawiał, kilka razy. A nie, to chodzili wieczorem i ogłaszali, co jutro robimy — że jutro może być to i to, że gazetkę piszemy, że wyrzucimy jutro, że balony pójdą, że to. A tych ulotek szło! I ludzie, to było dziwne, ludzie rzucili się do nas z pomocą. O to najważniejsze mnie chodziło, że ludzie rzucili się do nas z pomocą.

Ten chleb wam przywieźli?

To dużo, to było dużo. Żeby wtenczas cała Moskwa wyszła na ulicę, to by ją rozgromili, na Sybir wszystkich wywieźli; a dzisiaj wyszło kilka tysięcy i nic.



Raz tylko ten chleb przywieźli, czy kilka razy?

Kilka razy.

Żołnierze wpuszcili te wozy?

O to chodzi. Nam było dziwne, że ten chleb przechodzi. To było dziwne. Ja nie widziałem, jak jego dostarczali, ale widziałem, że chleb mieliśmy. Mówili o tym, to swoją drogą, ale jadłem chleb nie swój [nie obozowy].

Tak, różnił się?

O! i to dużo. Chleb obozowy brało się do ręki, jak się ścisnęło, to przez palce wychodził. A ten był bardziej normalny. To jest wielka różnica, chleb a chleb jest różnica.

Jak was wyprowadzili z obozu to od razu...

Wygнали w pola. Tam leżałem do jutra do wieczora. Czyli dobę. A później zebrali nas do kupy, trochę popisali po nazwiskach, przynieśli nasze dokumenty. Oni już wiedzieli gdzie, kto ma iść.

Oni nie wyganiali wszystkich na pole; robili grupy: 50 osób, 100 osób i później z tymi ludźmi robili porządek. Dowiedzieli się kogo mają, mają swoich szpiców i sortowali. Tu LEGUN, tu WALUK, tu APANOWICZ. Jednych załadowali w wagony — pójda na MAGADAN, na IRKUCK. A tych załadujemy i pójda do NARYLSKA.

Prosto nas do wagonów. W wagonach zawarowali i skończyło się. Dali po kilku dniach jeść i pociąg ruszył za jakiś czas. Już tego nie powiem, za ile dni. Fakt to, że myśmy 22 doby jechali do portu WANINO. W porcie WANINO myśmy przesiedzieli 5 czy 6 dni. Komisja, lekarze. I na okręt.

I cały czas pod mocną strażą?

Mocną. 6 dni jechaliśmy i 6 nocy. Jak nas przywieźli — pod strażą, setka psów, pełno wojska. Żadnego cywila nie było na pokładzie. Rozładowali nas do wozów. W MAGADANIE, na czwórkę nas zawieźli, na taką górkę. Na podgórzu. Wszedłem z wozu, podjechały na podwórko, patrzę — na wyżkach nie tylko karabiny, a CKM-y stoją i ich po trzech, po czterech na wyżce, że tam miejsca nie ma. I dopiero na jutro dowiadujemy się, że nas nazywają „żarptica”.

Dali nam jeść, trzeba przyznać, że dali nie najgorzej, zupy trochę lepszej. W południe nas rozładowali z okrętu, przyjechaliśmy rano. Jak jechałem, widziałem na na własne oczy ALASKĘ całą. To myśmy nad MORZE OCHOCKIE jechali. No i po tygodniu gdzieś tam przy MAGADANIE trochę wysadzili. Tam był taki PGR, trzymali krowy, konie i w MAGADANIE wozili produkty różne, końmi rozwozili. Tam pracowało z 350 panów, sadzili kartofle. Trochę one tam wyrastały, nie najgorsze były. I oni do nas przyszli, najmniej po tygodniu, czy my pójdziemy kopać kartofle. To nas ochotników było — wszyscy. Myśmy chcieli, jak wyjdziemy, zaraz coś dowiedzieć się. Ktoś do nas krzyknie, będzie szedł ulicą, konwój będzie prowadził, ale krzyknę, że jestem z KAZACHSTANU czy coś i już. A tam ludzie to wszystko więźniowie. Wolnymi, ale to wszystko ci, którzy byli w więzieniach. Tamtąd z 1929 roku spotkałem ludzi. Jeszcze nikt nie uciekł na Rosję, z powrotem do domu.

Pojechaliśmy kopać te kartofle. Poszliśmy, pognali nas. Kapiemy. Ale wiadomo, jakie kopanie. Kobiety konia od nas na jakich 500 metrów przywiązały, lejce do wozu, konia puściły i szedł w naszą stronę. Myśmy ładowali workami kartofle na wóz i z powrotem na drózkach puszczałyśmy konia. Jeden z nas przygląda się tym kobietom, przygląda. Ona podeszła bliżej. „Marysia!” Ta krzyczy: „Władek!”. Okazało się, że to jego siostra rodzona. Taki traf. Ona krzyczy do nas: „Przecież wy jesteście żarpticą, przecież z ciebie zrobili żarpticę.” No i myśm to dowiedzieliśmy się. Wtenczas wóz przychodzi, na nim przyjeżdża bańka mleka, bochenków kilka chleba. Nam to było prawie nie potrzebne, ale dostarczyły nam.

Ja na jutro nie poszedłem, poszli drudzy. Już na jutro przywieźli im normalny obiad, na pole. Już kobiety nie zostawiały konia, a przyjeżdżały z koniem, nakładały worki i rozmawiały z nami. I żołnierze uspokoili się. Ci żołnierze, co nas pilnowali, to też są ludzie. Są z nich dobre ludzie i złe ludzie.

Przeszło ze cztery tygodnie i przerwucili mnie na drugi punkt, przy którym był tartak, stolarnia, roboty drzewne. Poszedłem do tego tartaku i tam poznałem PILŻYSA. Ale później mnie stamtąd po roku, dwóch, odesłano na WIETRĘ. Wpierw BOLKA WALUKA, a mnie nie odesłali, tylko z powrotem przywieźli na ten punkt, gdzie nas pierwszy raz przywieźli. Tam 350 było *bytowikow*, a moje dokumenty odesłane w Moskwie. W MAGADANIE, w tym pierwszym punkcie, gdzie nas zawieźli na górkę, jak myśmy wróciliśmy.

W tym tartaku to nas było z 4—5 tysięcy. Tam BOLEK WALUK szył mi kurtkę. Myśmy tam kilka lat chyba byliśmy. I wtenczas BOLKA zabrano i odesłano na tak zwaną WIETRĘ. Pojechał tam kopać złoto. On tam pracował nie na złocie, tylko jako cieśla czy coś. Brygada była robocza, coś tam budowali. Spali pod namiotem, 40 stopni mrozu. Chodziłem go odwiedzać. Tam już byli białe niedźwiedzie, trzeba było chodzić ostrożnie. Białe zające, białe kuropatwy. Mróz pisał, ale ja po wódkę szedłem. 56 stopni mrozu. Byłem prawie pół roku i już zacząłem myśleć, że chyba już stąd wyjadę.

Skąd to było wiadomo?

Mnie wyraźnie powiedziano, że moje dokumenty, że ja muszę tu, bo wywieźli nas wszystkich, politycznych z MAGADANU. Przewaźnie tych, którzy przyjechaliśmy z KAZACHSTANU, wszystkich wywieźli na WIETRĘ. Tylko ja jeden zostałem z politycznych. Nas, politycznych, rozwieźli, jak tam nazywano, na trasach. 960 kilometrów szosa szła i w bok były różne pociągi. I BOLKA WALUKA odesłali na 450 kilometr, a ja zostałem. Bo nie było moich dokumentów, nie mieli prawa mnie ruszyć. I pytają mnie, czy mogę być z tymi *batawikami*. A ja: „Mogę, co mnie to obchodzi”. I przerwucili mnie do *batawików*. Ja tam siedziałem z pół roku. Najważniejsze, że do pracy nigdzie nie chodziłem. Powiedziałem: „Nie ma papierów, to nie chodzę do pracy”. A zarobek miałem. Już zaczęli nam płacić

pieniądze. Wtedy zarabiałem 50 rubli, 40, 30. To było zero. Już mnie szlag trafiał. A przy tych złodziejach miałem czego się chce. Papierosy nie papierosy, jakie chciałem takie paliłem. A złodziejami to oni faktycznie byli. Wychodzili w nocy i w MAGADANIE okradali sklepy. Byli sądzeni, i wychodzili. Gwizdali na tych żołnierzy, którzy ich pilnowali. Właściwie to ich tam mało i pilnowali. Ja sobie nie wychodziłem do pracy. Chodziłem tylko do tej pracy przy ziemniakach, gdzie kobiety pracowały. Podpisywałem im, jak konia zaprzęgly, że dobrze może jechać. Dużo wtedy mleka piłem. To mleko mnie siadło na żołądek, później w szpitalu byłem 8 dni, płukali mnie.

Później przysły papiery i wysłali mnie do BOLKA, 8 kilometrów od niego. To się nazywało WIETRIENNYJ. „Nie taki ja wietriennyj, żeby jechał na Bodron, nie taki ja bodronnyj, żeby jechał na Wietrien” — takie tam przysłowia. Jeden od drugiego 80 kilometrów. Ja na tym BODRON nie byłem, bo ja WIETRIEN był. Długo nie czekając — niestety, ni ma rady, zimno — poszedłem do kopalni. Rok i 7 dni ja pracowałem w kopalni złota. Złoto w kieszonce nosiłem. Chodziłem, przemywałem, szukałem, zbierałem. Dobrze płacili, 10 rubli za jeden gram. We dwóch jak się poszło, 50, 100 gram, 70 gram dziennie się uzbierało. To dużo było.

I wtenczas ja obróciłem się z ichniej stołówki. Myśmy byli odważniejsi, BOLEK nie był taki odważny. BOLEK ze mną nie mieszkał, miałem do siebie trzech; to znaczy czterech nas było, ja pieniędzmi ichnimi kierowałem. Żądałem od nich: „Dajcie mnie 100 rubli” i karmiłem ich cały miesiąc. Nie wiem, co oni zamawiali, to ja płaciłem. To była prywatna stołówka. Tutaj są zdjęcia, ja już dobrze wyglądałem.

Ale cały czas byliście tam pod konwojem? Na WIETRIENNYM?

Na WIETRIENNYM ja już byłem prawie bez konwoju. Tam byłem stolarzem, cieślą. Po roku wyszedłszy z tej kopalni, już mnie się nie chciało tam pracować. Miałem możliwości, znajomości, stare obozy. Już inna rzecz dla mnie, majstrowie mówią coś innego. I co się okazuje, ja się dobiłem i mnie przesłali później, gdzieś za pół roku, jeszcze 30 kilometrów po rzece. Nazwy tej rzeki zapomniałem. Tam odkrywała się mała kopalnia, stwierdzono bardzo dobre złoto, pojechała cała brygada, 50 ludzi, budować domy, baraki. Żeby można było osiedlić biura, wszystko i tam kopalnia miała się otworzyć. Posłano nas trzech tam. Sam myślałem, żeby tam jechać — dobrze mi będzie, tam majster był taki a taki, myślę — jadę tam. Długo nie pobylem, 10 czy 12 dni. Pod wieczór już, godzina pracy kończyła się, przechodzę z jednym, idzie żołnierz. Małutki, skromniutki, ale żołnierz. A my już tam całkowicie bez żołnierzy jesteśmy. Dlatego tam nie wszystkich wysyłano, tylko takich niby to lepszych pracowników czy jak nazwać. Ja przyglądam się, on dochodzi i mówi do nas: „Dzień dobry”. „Dzień dobry”. Czyli „zdrastwujcie”, po rosyjsku do nas. I mówi: „A gdzie tu jest jaki kierownik, majster”, po nazwisku mówi nam. No to mówimy, że tutaj jest. A ja z ciekawości, od razu mnie coś serce tyk, tyk, tyk: „Czego ty tu przyszedłeś?”. A on, a ma kartkę przy sobie, że musi tu takiego, mówi: „Mnie potrzebny APANOWICZ.” „Acha — myślę sobie, i mówię — i co?” „Pojedziesz do Polski. Mnie powiedziano, że mam ciebie natychmiast dostawić; musimy szybko, bo łódka odpłynie i nie będzie czym pojechać”.

Ale wie zaczęli nas żegnać, przyszła wódka, to, drugie. Nas tam było z pięćdziesięciu, APANOWICZ do Polski jedzie! APANOWICZA to już znali.

Byli tam Polacy prócz Pana?

Było kilku Polaków.

Nagle szum, gwar, ja to wszystko zostawiłem, bo trzeba było rozliczyć, mnie pieniądze wypłacić. Mówię: „Chłopaki, zabierzcie moje pieniądze, co wam wypłacą, wszystko dla was.” To piłem z nimi. Wypiliśmy, temu żołnierzemu daliśmy, idziemy. Parę minut jesteśmy na takiej górze, z 500—800 metrów, a ot, nasza łódka odpłynęła. Po drugiej stronie żyli jacyś prywatniludzie, mieli łódki, ja zacząłem do nich krzyczeć. Już szaro robi się. Opóźniliśmy się, za tą wódką, za wszystkim, jak zaczęli żegnać, całować. Do Polski jadę! Kto tam znał jaką Polskę. Polskę to ja znałem, ale Rosjanie nie. Ale do Polski jedzie.

Z drugiej strony rzeki przyjechał chłopak, przywiózł nas do siebie i ja z tym ojcem — „To jest 35 kilometrów. To musi kosztować tyle pieniędzy”. On mnie powiedział 5 czy 7 rubli, dałem mu 10, „masz”. Po co mnie pieniądze, jak jadę do Polski? On nas łódką motorówką wiezie. Przywiózł nas, podziękowaliśmy, zapłacili. Acha, jeszcze i wypiliśmy u niego. Ja wypłem z nim i on też wypił. Tam kierowcy pili wódkę i jeździli.

I przyjeżdżam, nie była ciemna noc, ale noc i kierownik mówi do mnie: „My ciebie tu rozliczymy.” Ja mówię: „Dajcie spokój z rozliczeniem waszym, ze wszystkim”. A chłopaki w tym baraku, gdzie mieszkalem, już siedzą i czekają na mnie. Już martwią się co jest, żołnierza nie ma, APANOWICZA nie ma. Okazuje się, że BOLEK już pojechał, jak mnie nie było. Oficer daje mi rozporządzenie, żeby brał papiery i jechał. Ja mówię „Nie. Będę z żołnierzem”. Ja się bałem. Jak ja papiery wezmę, to weźmie mnie żołnierz tu gdzieś, karabin nastawi i papiery mnie zabierze. No i co? I z powrotem mnie czeka więzienie.

Wydali mnie tę legitymację. Mam *udostowierienije*, co mnie chłopak, Rosjanin zrobił, już na jutro wszystko. A całą noc piliśmy, chłopaki czekali, wódkę nanieśli, to, drugie.

Na jutro dają mnie żołnierza, ja jeszcze prosiłem żeby dali dobrego żołnierza. Wysoki, przystojny, służbista, z bronią krótką. Dojeżdżamy, 4 kilometry myśmy szli i nam w samochód i uciekli.

Dojechaliśmy do trasy, zdążyliśmy na samochód, który po tej trasie jedzie 450 kilometrów. Karmię ja tego żołnierza po drodze, teczkę mam, nic ze sobą więcej, koc tylko. Przyjeżdżam do MAGADANU, w MAGADANIE wypatrzyli nas, spotykam się z BOLKIEM WALUKIEM.

Idziemy do IRKUCKA. Przerzut robimy do IRKUCKA, 32 osoby. IRKUCK nas przyjmuje i zamiast nas zaraz do Polski kierować, to oni nas, osły, kierują — CZUMA, koło IRKUCKA. Tam nas przyjmuje kierownik i mówi: „Co ja



wiem? Nie ma na was dokumentów". „Kochani, musicie iść do pracy, nie ma rady". No to my kilka dni nie poszliśmy. Myśmy jeszcze mieli pieniądze, ale koniec końców ja sam mówię: „Chłopaki, trzeba iść do pracy. Pieniądże my swoje przejemy. Przyjdzie się jechać, to nie będziemy mieli ani grosza. A kiedy nas odeślą? Nie wiadomo." No i poszliśmy do pracy, chyba z dwa miesiące myśmy przepracowali. Razem trzy miesiące byliśmy w CZUNIE.

Tam domki już gotowe przywozili, myśmy je składali. Idziemy z pracy, kapitan stoi. „Polaki?" i prosto na mnie idzie. Dwóch dochodzi do niego, mówi im: „Wieczorem o tej i tej godzinie pociąg". Myśmy do pracy chodzili bez konwoju, ale spaliliśmy pod konwojem. My, Polacy; botam był obóz i inni ludzie byli pod konwojem. Spaliliśmy w tym obozie.

Myśmy tam trochę pojedli, popiliśmy. Ten kapitan powiedział, że przyjdzie i posadzi nas do pociągu. Tak było. Pociąg przyszedł, on nas posadził. My do IRKUCKA, a z IRKUCKA nas, mówią: „do samolotu". Dwóch między nami zanalazło się. On mówi, że nie pojedzie samolotem, bo nas chcą wywieźć i wyrzucić. Ja mówię: „Co ty? Samolot będą na nas marnować?" Przesiedzieliśmy prawie całą noc, bo takie były zamiecie, ni OMSK, ni TOMSK nas nie chciał przyjąć. Posadka, aż do Moskwy nie możemy zalecieć od razu. Ale doczekaliśmy jakoś, z naprężeniem. Nie je się, nie pije, ni nic.

Siedzimy na tym lotnisku, czekamy. Nareszcie. Sadzą nas. Siadamy do samolotu. Przyjechaliśmy do TOMSKA, wysadzili nas w taksówkę, na dworzec, pojechaliśmy ładnie. Tak jak należy się. I do Moskwy. A w Moskwie przyjechali po nas, ładnie dowieźli na stację lotniczą, a tam w woronki zapakowani nas i do więzienia w Moskwie. Ale siedzieliśmy niedługo, chyba 4 godziny. Przywożą nas na stację i pojechaliśmy do BRZEŚCIA. Do MIŃSKA, BRZEŚCIA. Acha, jeszcze w MIŃSKU nas zatrzymali. Tu nas przyjął prokurator. 1 kwietnia 1959 roku przekroczyliśmy granicę.

Od samochodu do wagonu to było ze 300 metrów. Stało najmniej 20 psów albo 50, nie przesadzam, po jednej stronie i po drugiej. Rosjanie. Wszyscy pod karabin, on wyczytywał dokument, niósł ten dokument i ze mną razem. Polak, porucznik zobaczył: „APANOWICZ?". „Tak jest" I tak wszystkich nas, 51 osób, przyjął czyli zamknął, a to był wagon przyszykowany do przewozu takich ludzi. Później ja widziałem, on wziął moje papiery i położył w inne miejsce. Przyszedł później i mówi: „Apanowicz" i przeprosił mnie, zawołał do swojego przedziału. I powiedział: „Ja chciałbym, żeby Pan coś przetłumaczył". Bo on nas przyjmując do każdego coś mówił i jemu wydało się, że Apanowicz najlepiej po polsku mówi. Powiedział mi: „Pan będziesz moim tłumaczem". I że w SOKÓŁCE będą nam jeść dawać. Przyjechali już żołnierze – nasi, polskie wszystkie. Zupa z drugim daniem, z chlebem. Wszyscy głodni byli, nikt nie jadł. Przyjechaliśmy do Warszawy, w Warszawie on wysiadł a przyszło czterech milicjantów z więzienia. Ale ja w dalszym ciągu tłumaczyłem.

Te wszystkie papiery przywieźli. Na tej podstawie nasza prokuratura w BYDGOSZCZY. Już było widno, bo przez noc żeśmy jechali, wagon nasz odesłali w różne więzienia. Jak zwykle policja więzienna, nas zabrali, kierownik więzienia wyszedł i mówi: „Chłopaki, nie mamy miejsc dla was, więc tu przywieźli was do więzienia, no jak inaczej – mówi – wy tu jesteście wolni". Na jutro przynieśli nam 50 porcji chleba, a myśmy im wszystkie oddali. Pamiętam jak dzisiaj. 14 sztuk zostawiliśmy na 50 ludzi. Kilka dni nic nie jedliśmy.

Takie napięcie?

Nic nie jedliśmy. Dziwię się. Pamiętam, zjadłem przez dwa dni dwa jabłka. I cena, pamiętam, 6 złotych kosztowały. Przebyłem tam do 3 maja. Do 2 maja, 3 maja już byłem w ŁÓDZI.

Ale dlaczego was trzymali w tym więzieniu?

Książeczki repatriacyjne dawali nam. Dowody, śledztwo przeprowadzali.

To znaczy o co pytali?

Wszystko. Normalne sądy nawet. Dopiero przyjechała prokuratura. „Jak Pan był sądzony?", drugie, imię ojca, matki, prababki – zapytali. Ja byłem do drugich też tłumaczem. To było na takiej sali, w więzieniu. A później nas oddzielił, na sąd nas brali. I znów chodziłem za tłumacza, cały dzień. Dwa dni sądzili, to ja wszystko byłem. No i takiego WALUKA oni nie puścili, on jeszcze siedział.

To znaczy za partyzantkę na WILEŃSZCZYŹNIE pana sądzili?

Tak. Za co, to tam było napisane dużo. Tam było, że byłem wielkim bohaterem. Ja nazywam po rosyjsku – wielkim bandytą byłem. Moja nota na 10, 12, 15 arkuszy była, cała sprawa opisana. Co napisane, to nie mogłem wiedzieć. Mogłem przy nim, powiedzieć jemu i wziąć i te papiery obejrzeć, ale nie w głowie mi to było. Nie pomyślałem o tym nawet.

Wezwali mnie na sąd. To nazywa się tylko sąd; informacja dla wszystkich. Dlatego to się przeciągnęło. No i pytają mnie: „Byłeś?" Ja mówię: „Byłem." „Gdzie?" „Tam i tam". „No i co?" „No i – mówię – co? Dali 25 lat i koniec." „Za co?" „Ja sam – mówię – nie wiem za co. Napisane masz. Przecież macie napisane. Co mnie pytacie. A raz oni piszą to chyba prawda." No i zaśmieli się i mówią: „Dziękuję". I wyszedłem. Najgorsze, pojawiła się myśl: „Gdzie ty pojedziesz?" Sam nie wiem. Najprędzej do ŁÓDZI. „A do BRANIEWA nie jedziesz?" Bo wójek już list przysłał do mnie, jak dałem znać. Wójek do mnie przyjechał z ŁÓDZI, mamusi brat, a w BRANIEWIE był ojca brat. „E, nie – myślę – do BRANIEWA to ja nie pojedę". Przyjechałem do ŁÓDZI. Znów się tak złożyło, gość jeden wyszedł ze mną, nas kilku wyszło na raz. Więc on pojechał do CZERWIŃSKA. I tam siedł na jutro, znaczy w nocy zajechał i ja tu w nocy rano przyjechałem do Łodzi i on tam wszedł na śniadanie do stołówki. Tam był przesylny punkt. I szli moi rodzice. Moi rodzice tam byli, ojciec i mamusia. On tak przygląda się, dochodzi i mówi: „Czy to nie APANOWICZE?"

A oni mówią: „Tak”. „A syn wasz STACH?” „STACH”. „Pojechał do ŁODZI”. Oni prosto na pocztę i nadali telegram „Czemu ty do nas nie jedziesz?”

Pojechałem po kilku dniach do CZERWIŃSKA, przyjechałem tam rano. Rodzice spali. Weszłem, zobaczyłem — rodzice są, ale pomyślałem, co z tą matką będzie? Znałem, że matka mocno chora. Ojciec pierwszy cicho, przyszykował krople i w końcu ojciec matkę. Ale spały tam trzy rodziny, duża sala. Ojciec budzi mamusię, a mamusia tylko spojrzała na mnie i hop, poznała mnie. 16 lat nie widziałem się z rodzicami. Matka mdlała, ale ojciec zaraz jej krople, amoniaku, i wtenczas już wszystko było w normie. Wstaliśmy to były rozmowy różne. Nareszcie mnie pokazują, z czym oni przyjechali. Przywieźli taki kuferek, motocykl, to, drugie. Biednie przyjechali. I oni się myśla jechać na Zachód, do BRANIEWA do wójka, czy gdzie, wszystko jedno. Acha, i przywieźli 10 litrów bimbru. Przepraszam, 15 litrów. W grzałkach gumowych; to trzy przywieźli, a czwarta już prawie wypita była. A w to wchodzi 5 litrów, to rosyjskie, większe. Ja mówię: „To trzeba przelać, bo będzie czuć gumą”. „Nie”. „No to nie”. Bimber, ale mocny, popiliśmy my tam. Jeden był taki mechanik samochodowy. Ja im tu przy wódce. Wtenczas ja nie mogłem pić. I mówię: „Kochani nie, ja nigdzie nie jadę tam, gdzie wy mówicie.” Wtenczas, dużo by opowiadać wójek przyjechał. Mamusi brat z Łodzi. Jemu tam radio przysłali, tam przyjechali ludzie do niego czy jak. No i ja to przy wszystkich mówię: „Ja nie pojadę nigdzie tam, co wy macie w planie. Jeżeli chcecie, to jedziecie ze mną do ŁODZI. A nie, to jak sobie chcecie Ja na razie w ŁODZI albo w Warszawie chcę zaczynać.”

A ja sobie już tu pojeździłem, wywahałem. Oni chcieli mnie przemeldować w ŁODZI, wtenczas nie było wolno przemeldowywać. A ja miałem prawo wszędzie, bez dokumentów miałem prawo wszędzie, gdzie chcę. Ja miałem jedną legitymację do stołówki na miesiąc a drugą na przejazd pociągiem, bezpłatnie jechałem. Czerwony Krzyż dopomagał mnie chyba z pół roku. W PODKOWIE LEŚNEJ

mogłem pracować, jako majstra na budownictwie zabrali mnie. Chcieli bym w budownictwie pracować.

Przyjechałem do ŁODZI, znalazłem miejsce dla rodziców, dla mnie. I tu na NOWOTKACH 142 rodzice zmarli, córka tam mieszkała trochę i mieszka. A ja tu dostałem dopiero w 1963 roku mieszkanie.

A dlaczego nie chciał Pan na ziemię zachodnie?

Bo ja się najadłem już chleba dosyć. Znałem szto Rosjanie, co to ziemię...

Miał Pan zastrzeżenia, że to „ziemię odzyskane”?

Miałem. Że to odzyskane, miałem zastrzeżenia. To są ziemię odzyskane, to jest blisko Niemców, blisko Rosjanów. Gdzie nie pojadę, w którą stronę — Niemcy lub Rosjanie. Do SZCZECINA pojechać to... A KORKUĆ od razu mnie powiedział: on jedzie do SZCZECINA, miał tam kuzyna.

\*\*\*

koniec



I/M

№ К-93-90/ 306°

Министерство Иностранных Дел Российской Советской Федеративной Социалистической Республики свидетельствует свое уважение Посольству Республики Польша и в ответ на ноту № 31-Д-79-90 от 26 марта 1990 года имеет честь сообщить, что, по данным советских компетентных органов, Лпанович Станислав, сын Ивана и Эмилины, с 2 февраля 1945 года по 1 августа 1948 года пребывал в СССР в качестве интернированного и выполнял разные работы, а с 17 мая 1950 года по 1 января 1958 года он находился в местах лишения свободы. Других сведений в архивах СССР не обнаружено.

Министерство пользуется случаем, чтобы возобновить Посольству уверения в своем высоком уважении.

Москва, "31" октября 1990 года



В ПОСОЛЬСТВО РЕСПУБЛИКИ ПОЛЬША  
г. Москва

1944  
6/1/44







ОМСК Липец 1958

При выдаче бесплатного билета или в кредит по требованию  
или по наряду сетка отрезается полностью

Бесплатно или в кредит по требованию или по наряду № .....

Стиховой сбор 2 руб. 50 коп. подучен

ВРЕМЯ  
МОСКОВСКОЕ

«АЭРОФЛОТ»



БИЛЕТ № 413011 Г

ОТ АЭРОПОРТА

ДО АЭРОПОРТА

АЭРОПОРТЫ ПЕРЕСАДКИ

ФАМИЛИЯ

ЦЕНА

(правильность вписанной суммы проверяется  
по линии отреза сетки)

РЕЙС №

САМОЛЕТ №

МЕСТО №

ДАТА И ВРЕМЯ ВЫЛЕТА

ДАТА ВЫДАЧИ

М. П.

Кассир

14 декабря 1957 г.

(подпись разборчиво)

КОНТРОЛЬНЫЙ ТАЛОН

№ 413011 Г

На посадку  
в самолет

КОНТРОЛЬНЫЙ ТАЛОН

№ 413011 Г

На посадку  
в самолет



Mei Pamięta

gala siostry i

Marla, off budo Marla

Hypomnysie

drogoy chogic

z chumie.

z zycia no me

cartwa oblicie

z mryno na wroto

z mryno na wroto

z mryno na wroto

z mryno na wroto


owc.

1954 XII 8 r.

1918 XII 8 r. wroto.





A black and white portrait of a man in a military uniform. He is wearing a dark beret with a white identification tag on the front that reads "U 812". He is also wearing a dark jacket with a white identification tag on the left chest that reads "U 812". The man has a serious expression and is looking directly at the camera. The background is a plain, light-colored wall. The photograph has a white border and a scalloped edge on the right side.

U 812

U 812

Chociaż usmiech jest,  
serce pragnie wolności.

Spomni kolego  
trudne dni, gdzie  
spotkali - w obozie.

Ta pamiętna dla  
wernego kolegi

Stawa od jutro

Omer!

30/VII-55r.

Henry



С. С. С. Р. МЕЖДУНАРОДНОЕ

гор. Омск 29. у. з. п/з

16/8

Иванович Станислав  
Иванович

Роскоз  
Kulikowski Андрей  
Дубинис

росс. Митрофанов  
росс. Голубович

LOTNICZA  
PAR AVION





